

HENRY JAMES

*Godziny
włoskie*

Tłumaczyła Anna Arno



Warszawa 2021

Wenecja

Przyjemnie napisać to słowo, choć obawiam się, że próba dodania czegokolwiek od siebie zakrawa w tym wypadku na bezczelność. Tysiące razy malowano i opisywano Wenecję. Ze wszystkich miast na świecie najłatwiej ją zwiedzić, nawet się do niej nie wybierając. W wielu książkach można znaleźć pean na jej cześć. Wejść do dowolnej galerii, a pokażą ci trzy lub cztery wyraziste „panoramy” miasta. Wenecja ma złą sławę miejsca, o którym wszystko zostało powiedziane. Każdy kiedyś w niej był i przywiózł worek fotografii. Canal Grande zdaje się zwyczajny niczym główna ulica naszego miasta, a nazwa San Marco brzmi równie znajomo, co dzwonek listonosza. Nikt jednak nie wzbrania opowiadać o rzeczach znanych, a jak sądzę, prawdziwy miłośnik Wenecji nigdy nie ma jej dosyć. Zapewne nie powiem tu nic odkrywczego, ale lepsze to niż wszelkie nowinki. Smutny byłby dzień, w którym mielibyśmy coś do dodania. Piszę w pełni świadom, że nie mam do przekazania absolutnie żadnych wiadomości. Nie próbuję czytelnika oświecić, a jedynie obudzić jego wspomnienia. Uważam, że miłość do tematu usprawiedliwia każdego pisarza.

I

Owszem, Ruskin zarzucił swój temat¹. Ale po pół życia czerpania z niego przyjemności i sławy. Wszyscy, gdy tylko się nasycimy, możemy pójść w jego ślady, choć zapewne przyjdzie na to poczekać jeszcze wiele lat. Tymczasem właśnie Ruskin, bardziej niż ktokolwiek inny, pomaga się nacieszyć Wenecją. Niedawno co prawda zaaplikował nam kilka środków przynębiających, w postaci zabawnych, a raczej zgryźliwych szkiców (z cyklu *Odpczynek świętego Marka*), w których zawarł swe najnowsze uwagi na temat naszego miasta oraz opisał popełnione w nim niedawno niegodziwości. Tych ostatnich jest wiele i są godne ubolewania. Ale uznać, że oszpeciły Wenecję, oznaczałoby, że miasto to w ogóle można oszpecić – takie zaś stwierdzenie jest naszym zdaniem nieuczciwe. Na szczęście odreagowujemy ruskinowską zarazę, a godzina na lagunie warta jest więcej niż sto stron zdemoralizowanej prozy. Te dziwaczne późne pisma Ruskina (łącznie z poprawionym i skróconym wydaniem *Kamieni Wenecji*, z których dotychczas ukazał się jeden tom i zapewne na tym stanie) w całości zasługują na lekturę, chociaż w znacznej mierze zdają się przeznaczone dla dzieci. Brzmią jak szkolne rymowanki, które mogłaby powtarzać wzburzona guwernantka. Są jednak bardzo przekonujące i zwykle rozkosznie słuszne.

¹ *Kamienie Wenecji*, trzytomowy zbiór szkiców Johna Ruskina (1819–1900) poświęconych Wenecji opublikowany w 1851 (tom I) i w 1853 roku (tomy II i III). W 1879 Ruskin wznowił tom pierwszy (Traveller's Edition). James najwyraźniej nie wiedział, że dwa pozostałe tomy ukazały się ponownie w 1881 roku. Fragmenty szkiców Ruskina wydano po polsku w tłumaczeniu Ireny Żery w antologii *Teoretycy, artyści i krytycy o sztuce 1700–1870*. Wybór, przedmowa i komentarze Elżbieta Grabska i Maria Poprzęcka. Warszawa, PWN, 1974 oraz w tomie *Niewinne oko. Szkice o sztuce*. Wybór i tłum. Jakub Szczuka. Wstęp Ryszard Kasperowicz. Gdańsk, słowo / obraz terytoria, 2011. [Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie przypisy pochodzą od Tłumaczki].

W niewiarygodnym stopniu brakuje im formy, chociaż autor spędził życie na ustalaniu jej reguł i łajaniu tych, którzy je łamali. Pulsują jednak i błyszczą ukochaniem przedmiotu – miłością speszoną i odrzuconą, która wciąż ma moc inspiracji. Pośród wielu dziwnych rzeczy, które przytrafiły się Wenecji, miała ona szczęście stać się obiektem namiętności wybitnie utalentowanego człowieka, który ją sobie przyswoił, a tym samym ofiarował światu. Powtarzam więc: nie ma lepszej weneckiej lektury niż Ruskin, każdy bowiem prawdziwy miłośnik Wenecji potrafi oddzielić ziarna od plew. Ciasne teologiczne rozumowanie, moralizowanie *à tout propos*, dziwaczna zaściankowość i świętoszkowatość to tylko chwasty w naręczu kwiatów. Z pewnością można być szczęśliwym w Wenecji, nie czytając nic – nie krytykując, nie analizując, nie wysilając umysłu. Przypuszczam, że wyteżonej refleksji jest tu niewiele, a jednak w tym mieście miara szczęścia nieomal równoważy proporcję niedoli. Wenecką nędzę oglądają wszyscy; jest częścią widowiska – zagorzały miłośnik lokalnego kolorytu mógłby się upierać, że jest również składową przyjemności. Wenecjanie posiadają niewiele, z wyjątkiem nagiego przywileju życia w najpiękniejszym z miast. Mieszkania mają zatechłe, podatki wysokie, kieszenie puste, szanse nikłe. Sprawiają jednak wrażenie, jakby życie roztaczało przed nimi uroki wykraczające poza ten skromny wachlarz przywilejów, i wygląda że są z nim bardziej pogodzeni aniżeli niejeden z tych, co więcej dostali od losu. Polegają na słońcu, pluszczą się w morzu; noszą kolorowe fatałaszkę; łączą się w grupy i poddają nastrojom; prowadzą wieczną *conversazione*. Chcemy, żeby właśnie tacy zostali, a przecież z pewnością byliby inni, gdyby się lepiej odżywiali. Przerażająco dużo jest w Wenecji osób, które najwyraźniej wiecznie nie dojadają. Ale byłoby to jeszcze przykrzejsze, gdybyśmy nie mogli uznać, że bujny wenecki charakter rozkwita nawet na głodowych racjach. Natura była dlań

łaskawa, a słońce, odpoczynek, rozmowy i piękne widoki są jego główną strawą. W udanego Amerykanina trzeba sporo zainwestować, ale na szczęśliwego weneccjanina starczy odrobina roztropności. Włosi mają to szczęście i nieszczęście zarazem, że ich potrzeby są ograniczone; jeśli więc, jak się dziś zwykło uważać, miarą ucywilizowania danego społeczeństwa jest skala jego potrzeb, dzieci laguny raczej kiepsko wypadną w rubrykach statystyk. Z pewnością nie ich ubóstwo, lecz to, jak go unikają, zachwyca sentymentalnego turystę. Cieszy go widok dorodnej rasy, która żyje dzięki wyobraźni. Aby się cieszyć Wenecją, należy pójść w ich ślady i rozsmakować się w prostych przyjemnościach. Nieomal wszystkie tamtejsze rozkosze są zwyczajne – to stwierdzenie brzmi paradoksalnie, ale można je obronić. Nie ma przyjemności prostszej aniżeli oglądanie wspaniałego Tycjana, chyba że świetny Tintoretto albo przechadzka do Świętego Marka – to okropne, jak łatwo popada się w rutynę – gdzie oczy mogą odpocząć w półmroku. Nic wreszcie prostszego niż pływanie gondolą, wystawanie na balkonie czy kawa u Floriana. Z takich powierzchownych rozrywek składa się dzień wenecki, a jego urok wynika z wywoływanych przez nie emocji. Na szczęście są to przeżycia wyborne – w przeciwnym razie Wenecja byłaby nieznośnie nudna. Warto czytać Ruskina; jeszcze lepiej wertować stare kroniki, ale najlepiej po prostu tam pobyc. Jedyne sposoby, aby potraktować Wenecję tak, jak na to zasługuje, to dać jej szansę, żeby często cię dotykała – zasiedzieć się w niej, zostać i wracać.

II

Istnieje obawa, że nasz pobyt okaże się za krótki – autor tych słów potrafi coś powiedzieć na ten temat. Można Wenecji nie lubić, a nawet odpowiedzialnie i inteligentnie to uczucie pielęgnować. Niektórzy podróżni uważają, że jest to miejsce

odrażające, a ci, którzy są innego zdania, życzyliby sobie nieraz, aby tamtych było więcej. Jedyna pretensja, jaką sentymentalny turysta może mieć do swojej Wenecji, to zbyt liczna konkurencja. Bo on lubi być sam, chce być oryginalny, sprawiać wrażenie (przynajmniej we własnych oczach), że coś odkrywa. Dzisiejsza Wenecja to wielkie muzeum, którego bramka stale się obraca, a w jego salach oblega cię stado innych gapiów. Nie ma już nic do odkrycia czy opisania, żadnej nadziei na oryginalne spojrzenie. Bywa to drażniące; możesz się tylko obrazić na swojego bezczelnego kompana i przeklinać jego brak delikatności. Ale to nie wina Wenecji, tylko reszty świata. Wenecja jest winna tego, że łatwo ją podziwiać, ale w porównaniu z innymi miejscami trudno w niej żyć. Po tygodniowym pobycie, kiedy przygaśnie blask nowości, zastanawiasz się, czy zdołasz przywyknąć do osobliwych warunków. Nie możesz trwać przy swoich przyzwyczajeniach i czujesz, że musisz sobie wyrobić nowe, raczej niepożądane i nieprzynoszące zysków. Znudziła ci się gondola (albo tak ci się zdaje), widziałeś najważniejsze obrazy i wiele razy słyszałeś nazwy pałaców wykrzykiwane przez twojego gondoliera, który wypowiada je z taką emfazą, jakby był angielskim kamerdynerem, zapowiadającym przy wejściu do salonu utytułowanych gości. Setki razy okrążyłeś Piazza, kupiłeś masę widokówek. Zaglądałeś do antykwariatów, których obskurne szyldy przysłaniają niektóre z najwspanialszych widoków na Canal Grande. Wybrałeś się do opery i uznałeś, że jest beznadziejna, kąpałeś się na Lido i woda wydała ci się płytka. Poczuleś się jak na pokładzie statku – z Piazza jako wielkim salonem i Riva degli Schiavoni pełniącą funkcję pokładu spacerowego. Czujesz się uwięziony i ograniczony; twoja potrzeba przestrzeni pozostaje niezaspokojona, tęsknisz za zwykłą porcją ruchu. Próbujesz się przejść i nie wychodzi, a w międzyczasie poczuleś, że gondola jest jak duża kołyska. Nie życzysz sobie, by na falach huśtała cię do snu,

nawet jeśli czujesz się rozbudzony i zły. Kiedy wyglądasz na drugą stronę płytkiej laguny, drażni cię postawa gondoliera, stojącego na rozstawionych nogach, z wystającym podbródkiem i dziwacznie nienaukowym sposobem operowania wiosłem. Kanały obrzydliwie śmierdzą, a na nieśmiertelnej Piazza po wielokroć obejrzałeś i uznałeś za tandetę każdy artykuł w każdej sklepowej witrynie. Na tej Piazza młodzi weneccjanie handlujący bransoletkami z koralików i „panoramami” bezustannie wciskają ci swój towar, a zawsze ci sami, pozapinani pod szyję oficerowie, przy tych samych pustych stolikach, przed tymi samymi kawiarniami, wiecznie żują swoje czarne prymki. Ta Piazza, powtarzam, zmieniła się w okazałe dekoracje wciąż tego samego spektaklu.

Takie wrażenia wynoszą ci pospolici gapie, dla których Wenecja jest dobra na tydzień. Jeśli w takim stanie ducha postanowisz wyjechać, pośpiech cię zgubi. Strata będzie twoja, a nie – z całym szacunkiem dla twojego uroku – twoich towarzyszy, którzy zostaną na miejscu; bo choć w Wenecji jest kilka nieprzyjemnych rzeczy, nie ma nic gorszego niż odwiedzający ją ludzie. Warunki są szczególne, ale można o nich zapomnieć, zanim niewygodą zmieni się w uprzedzenie. Kiedy już w hotelu poprosisz o rachunek, zapłać go i zostań, nazajutrz przekonasz się, jak głęboko się do Wenecji przywiązałeś. Tylko żyjąc tam na co dzień, możesz w pełni odczuć jej urok, otworzyć duszę na jej cudowne działanie. Wenecja jest stworzeniem zmiennym jak drażliwa kobieta, którą poznajesz dopiero wówczas, gdy odkryjesz wszystkie odcienie jej urody. W zależności od pogody i pory dnia bywa w dobrym albo kiepskim nastroju, jest blada albo rumiana, szara lub zaróżowiona, zimna lub ciepła, rześka albo osłabiona. Jest niezmiennie ciekawa i prawie zawsze smutna. Ma za to tysiące pięknych chwil i skłonność do szczęśliwych zbiegów okoliczności. Te rzeczy zaczynają cię wzruszać, czekasz na nie, stają się częścią twojego życia.

Wzbudzają w tobie czułość; jest coś nieuchwytnego w pogłębiającej się między wami zażyłości. Miejsce jakby się przeobraża w osobę, staje się ludzkie i świadome twojego przywiązania. Pragniesz je objąć i pieścić. W końcu rozwija się słodkie uczucie posiadania, a twoja wizyta przeradza się w nieustanny romans. To prawda, że jeśli, co kilkakrotnie zdarzyło się piszącemu te słowa, przyjedziesz około połowy marca, może cię spotkać pewne rozczarowanie. Przez kilka lat mojej nieobecności to piękne i bezbronne miasto zostało szczególnie pokrzywdzone. Całkowicie opanowali je barbarzyńcy i drżysz na myśl, do czego jeszcze mogą być zdolni. Od przyjazdu nie dają ci zapomnieć, że Wenecja już prawie nie istnieje jako miasto, zamienia się w bazar i podupadły teatr. Horda dzikich Niemców rozbiła się obozem na Piazza, a ich wrzaski wypełniły Palazzo Ducale i Akademię. Później przybyli Anglicy i Amerykanie. Przyjechali w porę, a wraz z nimi gromada Francuzów, którzy mieli na tyle dyskrecji, aby długo ucztować w Caffè Quadri i na ten czas mieliśmy ich z głowy. Ogólnie rzecz biorąc, kwiecień i maj 1881 roku nie sprzyjały wizytom w Pałacu Dożów ani w Akademii. *Valet de place*² oznaczył je jako swoje terytorium i triumfalnie wziął w posiadanie. Zwycięstwo rozgłaszał okropnym, metalicznym głosem, który niósł się po całym placu i pobrzmiwał obcym akcentem w jakimkolwiek mówił języku. Przez wszystkie wiosenne miesiące owa zgraja panoszy się w najlepszych pensjonatach, swoich bezbronnych jeńców ciąga po kościołach i galeriach. Ta zaraza zajmuje Piazza, prześladuje cię także na Riva, tłoczy się na mostach i przy wejściach do kawiarni. Ale kiedy przed chwilą wspomniałem, że na początku byłem rozczarowany, miałem głównie na myśli wrażenie, któremu uległem w okolicach bazyliki Świętego

² Służący do wynajęcia (fr.).

Marka. To starożytne sanktuarium jest w skandalicznym stanie. Przekupnie rozkładają towary u samych wrót świątyni; w ślad za tobą przekraczają próg, wchodzą w święty półmrok, ciągną cię za rękaw i syczą do ucha, walcząc o klientów. To wstyd, co się tam wyprawia i jeśli Wenecja zmieniła się, jak powiedziałem, w wielkie targowisko, to ta wspaniała budowla jest jego największym straganem.

III

Bazylika jest na ogół traktowana jak targowa buda i gdyby nie to, że zachowuje jakąś uroczystą aurę, wkrótce nie byłoby już powodu, aby podróżny uznawał ją za przybytek wiary. Odnowienie fasady, które ostatnimi czasy wywoływało tyle dyskusji, jest w rzeczy samej szokujące. Jak niezbędne były to zmiany, ocenić może tylko znawca, ale bez wątpienia są one, nawet jeśli je wymusiły okoliczności, godne pożałowania. To chyba najprzykrzejsza konieczność, jakiej ostatnimi czasy musiały się poddać osoby obdarzone smakiem. Czegokolwiek dotknęła ręka konserwatora, traci całą urodę; to smutne, tym bardziej że przez stulecia zewnętrzny czar Świętego Marka ustępował jedynie piękności wciąż względnie nieoszczonego wnętrza. Nie wiem, jaka w takiej sytuacji jest miara konieczności, i jest to, jak przypuszczam, kwestia bardzo delikatna. Podróżnemu, który z wąskich uliczek wynurzał się na Piazza, ukazywała się ta wspaniała harmonia przyblakłej mozaiki i marmuru, wypełniająca swoją srebrzystą obecnością drugi kraniec placu. Tymczasem ta cudowna wizja ma zostać poniekąd całkowicie odmieniona i w zasadzie unicestwiona. Dawna miękkość i łagodność odcieni – dzieło cichych stuleci i słonego morskiego tchnienia – ustępuje miejsca brutalnym łatom nowego materiału, które zamiast przywracać zdrowy wygląd, przypominają raczej paskudną wysypkę. Wyglądają jak plamy czerwonej i białej farby, jak bielidło na policzkach